

Powstaje superprodukcja o Tadeuszu Kościuszcze. Scenariusz napisał dziennikarz ze Skierniewic

data aktualizacji: 2022.08.25 autor: Anna Wójcik-Brzezińska



(Jacek Braciak w „Kosie” jest twarzą Tadeusza Kościuszki. fot.Łukasz Bąk)

- 31 lipca na planie filmowym padł ostatni klaps na planie. „Kos” wejdzie do kin jesienią 2023 roku. Scenariusz do filmu napisał Michał A. Zieliński. Producentami są Leszek Bodzak i Aneta Hickinbotham, duet odpowiedzialny za „Boże Ciało”, „Ostatnią Rodzinę”, „Żeby nie było śladów”.
- Akcja filmu będzie się toczyć tuż przed insurekcją kościuszkowską, wiosną 1794 roku. Według odtwórcy roli Tadeusza Kościuszki „Kosa” - Jacka Braciaka - „będzie to wariacja na podstawie historii”.

W oficjalnej informacji prasowej czytamy, że „Kos” jest „ostrą jak szabla, porywającą i nowoczesną, wypełnioną wartką akcją i emocjami uniwersalną opowieścią o ludziach, którzy w imię wolności i równości, pokonali wzajemne uprzedzenia i dzielące ich różnice”. Kinem akcji i przygody, w którym nie zabraknie humoru.



Z Michałem A. Zielińskim, scenarzystą filmu „Kos” rozmawia Anna Wójcik-Brzezińska

Jaki ma Pan związek ze Skierniewicami?

- Mieszkiałem tam z rodzicami i bratem prawie od urodzenia. Najpierw na Szkolnej, a kiedy miałem 10 lat, w 1988 roku, przeprowadziliśmy się na osiedle Widok. Do studiów, czyli przez całe nastoletnie życie, mieszkiałem w wieżowcu na Norwida. Chodziłem do liceum ekonomicznego.

Nie do „Prusa”?

- Wydaje mi się, że wtedy było się trudniej dostać do „Ekonomika”. To był czas, gdy kapitalizm eksplodował w Polsce. Uznałem, że skoro trudno się tam dostać, to musi być to dobra szkoła. Pomyśl można różnie oceniać. Pamiętam, że wtedy „Ekonomik” mieścił się bardziej w centrum Skierniewic, dziś szkoła jest w innym miejscu.

To prawda, dziś miałby Pan zdecydowanie bliżej do szkoły.

- W liceum współpracowałem trochę ze skierniewickim tygodnikiem ITS i zdecydowałem się zdawać na dziennikarstwo w Warszawie. Pamiętam zresztą, że poszedłem kiedyś na eliminacje do programu telewizyjnego „Jeśli nie Oxford to co?”. W sumie zająłem trzecie miejsce, co zwolniło mnie z kawałka egzaminu na uniwersytet. Wyjechałem ze Skierniewic. Pewno dziś jestem już Warszawiakiem, choć przez wiele lat nie czułem się nim. Moja rodzina dekadę temu też wyprowadziła się ze Skierniewic. Właściwie tu nie zaglądam, acz co najmniej raz w roku mam taką myśl, że należałoby tam po prostu pojechać, pochodzić po mieście, spotkać ze znajomymi.

Nauczono pana w Skierniewicach ekonomii?

- Spotkałem tam wiele fajnych osób i nauczycieli, ale nie będę opowiadał, że „Ekonomik” był moją

windą do kariery. Myśmy uczyli się rzeczy czasem przydatnych, czasem nie. Ale faktem jest, że ja większość mojego dziennikarskiego życia spędziłem w działach biznesowych i gospodarczych różnych redakcji. Kto wie, może jednak oddziaływanie skierniewickiego „Ekonomika” było silniejsze, niż mi się wydaje?

Ostatnio pracował pan w Gazecie Wyborczej i Polityka Insight, ale dziennikarstwo zamienił na pisanie scenariuszy. Dlaczego?

- To jest dobre pytanie. Ja po prostu wskoczyłem do basenu, uprzednio nie sprawdzając, czy jest w nim woda. Na szczęście była, ale mogło być różnie. Z różnych powodów byłem trochę zmęczony dziennikarstwem, no i miałem ten swój pomysł, który chodził za mną kilka lat. Gdy rozmawiałem o tym ze znajomymi, zawsze reakcje były bardzo pozytywne. To mnie podbudowywało. W końcu 2018 roku przyjęli mnie na warsztaty „Atelier Scenariuszowe”. To był dla mnie przełomowy moment. Zupełnie nie miałem doświadczenia, ale ktoś uznał, że mój temat jest ciekawy i że będziemy przez ileś miesięcy pracować nad tym pomysłem. Wtedy pomyślałem - ok, to zrobię to wielkie szaleństwo i zobaczymy, co z tego wyniknie. To nie było specjalnie dobrze skalkulowane... Na szczęście dobrze się skończyło. Niedługo później pojawił się pierwszy zainteresowany producent i reżyser Paweł Maślona.

Dziś wszyscy piszą książki, dlaczego pan usiadł do scenariusza?

- Jak ci „wszyscy” też o tym myślałem, ale jakoś mnie pociągał film. Dotarło do mnie, że często komentując rzeczywistość, mówiłem - to byłby fajny pomysł na film, to byłaby super scena i tak dalej.

To nie jest tak, że ten mój proces myślowy jest super jasny i jestem w stanie powiedzieć, że zostałem scenarzystą z dokładnie takiego, czy innego powodu. Natomiast po przeczytaniu biografii Kościuszki byłem zszokowany, że nikt nie zrobił filmu z tak ciekawego, dynamicznego i wielkiego życiorysu. Jasne, że to kwestia pieniędzy - pomyślałem. Uznałem więc to za wyzwanie, żeby napisać scenariusz wykonalny, możliwy do zrobienia w Polsce. No i wyszło.

Gdy myślę o Tadeuszu Kościuszcze, w głowie mam list bohatera do polskich kobiet, gdzie ten zaczyna tonem wysokim - kwiecie, ozdobo rodu ludzkiego... To był fajny facet.

- Jak na ówczesne czasy to on był super postępowy. Po pierwsze, on kobiety w ogóle dostrzegł i zauważył, że mogą odgrywać jakąś rolę w powstaniu. Tak samo był postępowy w stosunku do Żydów, czarnoskórych, chłopów. Mnie też się wydaje, że to jest fajny facet. Nie jestem jednak pewien, czy myśmy go dobrze poznali. On jest taki „upomnikowiony”. Jak się poczyta trochę literatury niepisanej przez historyków, myślę choćby w książce Stefana Bratkowskiego „Z czym do nieśmiertelności”, Kościuszko zaczyna się jawić jako prawdziwy człowiek. Jest napisane wprost, że jak był w Szkole Rycerskiej w Warszawie, razem z rówieśnikami kręcił zadymy, imprezował, pił... no i prawdopodobnie się pojedykował.

Mówi się, że był bardzo romantyczny. Miał w życiu dwie, czy trzy sytuacje, gdzie był naprawdę głęboko, tak na zabój, zakochany, ale przez większość życia był jednak kawalerem. Był dość przystojny, choć nie wysoki. Potrafił grać na instrumentach, rysować te kobiety...

Dreszcze przeszły po plecach.

- No i można było z nim pogadać. Był inteligentnym facetem. Istnieją przekazy, które mówią, że nie żył w stanie celibatu. Trudno mu się dziwić. O Kościuszcze trzeba jeszcze wiedzieć, że to był inżynier wojskowy - umysł ścisły, dobrze wykształcony w Warszawie i Paryżu.

Tymczasem w powszechnej świadomości Kościuszko jest raczej postacią „analogową” - kojarzymy go z chłopską kosą.

- On miał pewną wizję równości, samostanowienia ludzi i wspólnot. Był naczelnikiem powstania i z tego go kojarzymy, ale dla Amerykanów czasie wojny z Anglią przede wszystkim projektował najnowocześniejsze ówczesne systemy umocnień. Za to z pewnością nie był politykiem. Do intryg się nie nadawał.

Zanim głębiej, to całkiem płytko - dlaczego właśnie Jacek Braciak jest w „Kosie” twarzą Tadeusza Kościuszki?

- To nie do końca pytanie do mnie. W biznesie filmowym, sztuce filmowej i tym, co pomiędzy - to producenci albo reżyserzy mają decydujący głos w takich sprawach. Scenarzyści nie decydują o obsadzie. Wybór Jacka Braciaka wydaje mi się jednak bardzo dobry. Uważam, że jego metoda aktorska jest oszczędna w tym sensie, że on nigdy nie stara się szarżować. Czerpie z własnych doświadczeń i stara się je połączyć z postacią, którą gra. Jeśli chodzi o znane postaci historyczne, to każdy ma ich jakieś wyobrażenie, najczęściej wyniesione z podręczników historii. Wybory obsady zawsze są ryzykiem, ale są też przygodą. Zobaczmy, co widzowie powiedzą.

31 lipca padł ostatni klaps, zakończono zdjęcia do „Kosa”. Ponad 40 dni zdjęciowych to jak na polski rynek, duża produkcja.

- To niewątpliwie duży, kosztowny i trudny film. Na planie było bardzo dużo wyzwań. To jest film z bronią czarnoprochową. Wciąż w głowach przecież mamy sytuację sprzed roku, gdy w trakcie przygotowań do jednej ze scen wystrzeliła broń trzymana przez Aleca Baldwina. Na planie „Kosa” standardy bezpieczeństwa były bardzo wysokie. Po każdym strzale broń trafiała do tzw. strefy bezpiecznej. Specjaliści się nią zajmowali. Na planie były też konie, nad którymi trzeba było zapanować, film jest kostiumowy, to też stawia określone wyzwania. Specjalnie na potrzeby produkcji wybudowano dworek, w którym dzieje się większość akcji.

Plan zdjęciowy to jest harówka dla wszystkich. Mam nadzieję, że „Kosa” będzie się oglądało z zapałem. Sceny, które widziałem, są świetne. A Paweł Maślona i Piotr Kmieciak na montażu wydobędą z tego materiału jeszcze więcej. To ważny etap. W branży mówi się, że każdy film powstaje trzy razy: najpierw jako scenariusz, potem na planie zdjęciowym, a potem na montażu.

Obecność czarnoskórego bohatera u boku Kościuszki może być dla wielu zaskoczeniem.

- Dziś mamy poczucie, że Polska zawsze była krajem monokulturowym, tymczasem było dokładnie odwrotnie. Kto, jeśli nie Kościuszko, po wielu latach spędzonych w Stanach Zjednoczonych, miałby mieć czarnoskórego adiutanta? Przecież to Naczelnik pieniądze ze swojego spadku kazał przeznaczyć na wyzwolenie czarnoskórych niewolników i wykształcenie ich. To są wszystkie fakty historyczne, zatem zdziwienia być nie powinno. Postać Domingo jest autentyczna, daje dobry kontrast, wyjście do rozmowy o pańszczyźnie. Taki czarnoskóry bohater daje zewnętrzną miarę prawdziwego amerykańskiego niewolnictwa. Jean „Domingo” La Pierre pochodził z Haiti, które kiedyś nazywało się Santo Domingo, stąd jego przydomek. W filmie Kościuszko przyjeżdża z nim do Polski, jako wsparciem w nadchodzącym powstaniu. Jason Mitchell - znany między innymi z filmu „Straight Outta Compton”, gdzie grał legendę hip-hopu Eazy-E - świetnie sobie poradził. Na marginesie przypomnę, że Domingo to jedna z wielu czarnoskórych postaci w historii Polski. W insurekcji kościuszkowskiej brał udział gen. Jabłonowski, który był mulatem.

Ci, którzy wiedzą, że „Kos” powstaje, a przecież wiedzą wszyscy w środowisku, mówią - superprodukcja. Mówiąc wprost - to musi się sprzedać. Ma pan poczucie, że w przyszłym roku na ekrany kin wejdzie hit, do którego scenariusz napisał Michał A. Zieliński?

- To widzowie zdecydują. Sukcesu nie można być pewnym, ale myślę że w tym filmie tkwi ogromny

potencjał. Producent zadbał o budżet – koproducentem filmu jest platforma streamingowa Viaplay. Film jest współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej (PISF), powstało dobre kino. Chcemy, by ten film się oglądał – to film przygodowy z historią w tle. Chcę by o Kościuszcze mówiono i by oglądający dobrze się bawili. Oczywiście, nie jest tak, że to jest czysta rozrywka, bo „Kos” porusza wiele aktualnych tematów, chcemy tym filmem coś powiedzieć, ale nie chcemy robić kazania.

Ustaliliśmy, że powstaje superprodukcja, po której do Michała A. Zielińskiego rozzwonią się telefony, posypią oferty. Co teraz pan robi?

– Myślę, że zaczną częściej dzwonić po premierze. Najważniejsza rzecz, nad którą w tej chwili pracuję to adaptacja pewnej, według mnie wybitnej, współczesnej powieści, która się dzieje w czasie drugiej wojny światowej. To jest bardzo specyficzny opis początków okupacji.

Każdy początkujący scenarzysta, a i ci dojrzały, śnią o produkcji, która jest pańskim udziałem. „Kos” to kino gwiazdorskie.

– Całkowita racja, to nie miało prawa się wydarzyć.

A jednak.

– Jak pojechałem na plan filmowy, byłem mocno zaskoczony, jak wielu ludzi pracuje nad tym, co ja sobie wymyśliłem. To wtedy zorientowałem się, że np. dla realizacji jednego zdania, które napisałem: „dylizans wyjeżdża z rzeki, wylewa się z niego woda, a bohaterowie wylewają wodę z butów”, potrzeba ze 100 metrów węża strażackiego, cystern z tysiącami litrów wody, ludzi do obsługi i transportu – tysięcy złotych. Poczulem odpowiedzialność za słowo. Słowo na papierze nie kosztuje prawie nic, ale zrobienie filmu kosztuje duże pieniądze i nie można na to zamykać oczu. Jeśli kogoś niesie rozmach w opowiadaniu, trzeba raczej pisać powieści.

Największa ekscytacja przyszła, kiedy Bartosz Bielenia, Robert Więckiewicz albo Andrzej Seweryn mówili linie dialogu, które napisałem. Wtedy włosy stanęły mi na rękach.

Każdy scenarzysta wie, że ma w tekście momenty, które są świetnie napisane, a przynajmniej jest o tym przekonany, ale wie też o momentach słabszych. Pamiętam, jak Robert Więckiewicz zaczął interpretować jedną ze scen. Zajęło mu ledwie 10 minut, żeby wskazać mi, że tu, tu i tu mogło być lepiej. I oczywiście trafił w te miękkie punkty, o które się obawiałem. W „Kosie” grają aktorzy, którzy pracują z tekstami i historiami ludzkimi od lat, obawiałem się gwiazdorskiego zadęcia, ale bardzo dobrze mnie przyjęli.

A z tym faktycznie, różnie bywa. Nie wszyscy lubią obecność scenarzysty na planie.

– Faktycznie, obawiają się, że jest przywiązany do swojego tekstu tak mocno, że będzie biegał, podskakiwał, machał rękami: „Nie, nie róbcie tak, ja widziałem to inaczej!” Ja od początku założyłem, że to moje scenariuszowe dziecko musi pójść na wychowanie do reżysera i aktorów. Dopiero wtedy scenariusz staje się dorosłym filmem. Bo film to wynik pracy grupowej.

Źródło:

<https://eglos.pl/aktualnosci/item/41003-powstaje-superprodukcja-o-tadeuszu-kosciuszcze-scenariusz-napisal-dziennikarz-ze-skierniewic>